

## Hrabia z kranem

Niestety, bądź stety, ale remont jest potrzebny. Wszyscy o tym wiedzą. I wszyscy chcą ładnie i zarazem wygodnie mieszkać. To podstawa. I super. I heja. I normalnie przymierzanie się do remontu wygląda z ołówkiem i kajetem w ręku, wypisywaniem wszystkiego co potrzebne, przemyśleniem co usunąć lub zmodernizować, i oczywiście wokół określeń remontowych i remontowo-pochodnych na kartkach kajecika krążą koszty, kosztunia, koszciki. Duże i małe sumy, sumki, sumiki. Normalne procedury. Mnie jednak na hasło „remont” po ostatnim własnym wyczynie przypomina się niezmiennie kawał o hrabim.

Hrabia po dłuższym pobycie za granicą wraca do swoich posiadłości. Na dworcu czeka na niego zaprzęg koni i wierny sługa Jan.

- No i cóż tam zdarzyło się nowego we dworze podczas mojej nieobecności, Janie?
- Nic nowego Jaśnie Panie... no, może tylko to, że Azorek zdechł.
- Azorek?! Mój ulubiony pies? Jak to się stało?
- Ano nażarł się końskiej padliny, to i zdechł.
- A skąd we dworze końska padlina?
- Konie się poparzyły, to zdechły.
- Jak to konie się poparzyły? Od czego?
- Od ognia, Panie, jak się stajnia paliła.
- A kto podpalił stajnię?
- Nikt, od płonącego dworu się zajęła.
- Na miłość boską, to i dwór spłonął?! Jakim sposobem?!
- Ano po prostu. Świeczka przy trumnie teścia Pana hrabiego się przewróciła i firany się zajęły.
- Och! A czemu mój teść umarł?
- Bo Jaśnie Pani uciekła z tym oficerem, co się z nim od trzech lat spotykała.
- Spotykała się od trzech lat?! To przecież nic nowego!
- Właśnie mówiłem, Jaśnie Panie, że nie zdarzyło się nic nowego.

Mój dwór w czteropiętrowcu na szczęście stoi, nikt mi nie uciekł, Azorek i konie mają się świetnie. Jednak zaczęłam remont kuchni od totalnego końca. Zakupiłam bowiem nową baterię do zlewozmywaka. Funkcjonalna, z wyciąganą słuchawką. Promocja była. Przyleciawszy na skrzydłach do domu, wyjęłam nowe cudo, pomachałam nim

tryumfalnie przed nosami domowników, odstawiłam wejście smoka do kuchennej jaskini i... No właśnie. Stary zlew – stary typ. Nie na takie novum. Jako rasowa blondynka spróbowałam racjonalnie pomyśleć: taaaak, mam do wyboru albo oddać baterię, wymyślając na poczekaniu coś zupełnie irracjonalnego, co jednak przełknąłby biedny sprzedawca, albo wymienić zlew. Nie muszę chyba dodawać, że niemal natychmiast rozmarzyłam się: widziałam taki piękny ostatnio i jakby pasował! Bo przecież czy ja lubię robić z siebie idiotkę w miejscu publicznym, jakim niewątpliwie jest duży supersam? Chy-ba-ra-czej-na-pew-no-nie-za-bar-dzo. Ha! Udało mi się przemyśleć sprawę! I w miarę szybko, i usilnie.

No więc, hmmm... Rozejrzałam się wokoło. Przydałoby się coś zrobić. A skoro i tak naruszyłam konstrukcję kuchenną, to wypadałoby odmalować przy okazji ściany, rozejrzeć się za kuchenką, zmienić stół, blaty już stare, szafki się sypią, lodówka płacze... Skoro i tak czeka mnie wyniesienie wszystkiego, grzechem by było nie wymienić glazury i terakoty, wstawić plastika w otwór okienny, a także pochować zbędne rury. Nie ma to przecież jak budownictwo sprzed dwudziestu lat!

Zakasałam zatem rękawy, wysłałam towarzystwo na zieloną trawkę, zadzwoniłam po pana Zdzisia i rozpoczęłam wielkie dzieło małej osóбки. Tak między nami, pan Zdzisio stanowił niezły materiał socjologiczno-psychologiczny, opowiadając między jednym pociągnięciem farby a drugim tragiczne historie swojego życia, bądź, roztaczając wspaniałe wspomnienia wielu podróży własnych przy wielokrotnym przenoszeniu tych samych szafek z dobrego miejsca na lepsze. Lub też będąc „enty” raz pasażerem mojego autka, zdołał wykrzyknąć niespodziewanie: Eureka! Już wiem, skąd panią znam! Od początku naszej jakże miłej znajomości nie dawało mi to spokoju! Czytałem o pani!!! Nie muszę chyba dodawać, że w tym momencie swoim zachowaniem przyprawił mnie i innych użytkowników ruchu drogowego niemal o zawał.

A więc stałam się jednostką totalnie aspołeczną na czas bliżej nieokreślony. Na tym zakończę wątek samego remontu, bo to, poza drobiazgami, nic ciekawego, ani przyjemnego. Dodam tylko, że pan Zdzisio wykazał się iście pomocną dłońią i wrodzoną zapewne fachowością (twierdzę, że nie wszystko da się wyuczyć, czynnik wysysania zdolności z mlekiem matki działa przynajmniej w niektórych przypadkach). Owa dłoń i fachowość łączyła niemąłą tężyzna fizyczna, zważywszy na stan faktyczny kwieciana wieku. Chwała za to, że oboje dotrwaliśmy do końca. Mam

nadzieję, że pan Zdzisio wyszedł ode mnie ukontentowany w równym stopniu, co ja, chłonąc z zachwytem efekt końcowy.

Tak więc pewnego pięknego poranka mogłam wreszcie wyjść, a raczej wypełznąć po zakupki i zacząć krzątać się po odremontowanej kuchni – jak za dawnych, dobrych czasów. Ciągnąc sprawunki niemal po ziemi, bo ciężar udzielanej panu Zdzisiowi pomocy nadal dawał znać o sobie, usłyszałam za plecami:

- Heeeeeeeeeeeeeeej. Co tam nowego słysząc u ciebie?

– Eeee, nic nowego... – wymknęło mi się markotnie.

Napotkana duszyczka, przyjrzała mi się baczniej:

- Co ty? Co ci? Czemu taka zmęczona? W ogóle mizerna jakaś jesteś... Chora? Może w ciąży?!

- Nie tam! Od razu – w ciąży! Remont kuchni!

Po pełnym zrozumienia „Aaaaaaaa...” na pytanie czy musiałam, przytaknęłam smętnie. Konieczność była.

- A co? Sąsiedzi zalali?

- Skąd!

- Gaz wybuchł?!

- Gdzie tam!

- Kafelki odpadły?

- Bez przesady.

- Szafki spadły?

- Nic mi nie wiadomo...

- Rozumiem, zmieniłaś kuchenne „intérieur”?

- Po co??? Meble jeszcze w porządku. Odnowiłam nieco.

- Wiem! – tryumfowała – rura poszła?!

- Uchowaj Boże!

- To już nic nie rozumiem... – duszyczka złożyła broń. Nie przyszło jej bowiem do głowy, że można zabrać się za rzecz wielką od przysłowiowego tyłu. Uśmiechnęłam się do niej słodziutko, wzięłam pod rękę i zaprosiłam na kawę do nowej-starej kuchni. Postanowiłam nie wyjaśniać, bo przecież – używając słów sługi Jana z przytoczonego dowcipu - nie zdarzyło się nic nowego. Przy okazji sprawdzę spostrzegawczość duszyczki. Toć bateria nie igła, a siana w bloku nie uświadczysz.